

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK W LUBLINIE  
OGÓLNEGO ZBIORU N. 3.

---

KONSTANTY KIETLICZ-RAYSKI

# SZTUKA GÓRALSKA NA PODHALU

Wstępem poprzedził  
D. LUDWIK KAMYKOWSKI



NAKŁADEM RODZINY  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI M. ARCT i S-KA W LUBLINIE  
LUBLIN 1928

## SZTUKA GÓRALSKA NA PODHALU

Studja nad góralszczyzną zacząłem w Szczawnicy, dopełniłem je w Zakopanem. Wyjechałem z Lublina podobno beznadziejnie chory, farby więc wziąłem ze sobą jedynie z przyzwyczajenia.

Świat, w którym się nagle znalazłem, wydał mi się tak nowym i pięknym, że postanowiłem przedłużyć życie swoje już przez lekarzy na zagładę skazane, by wywieźć jak największą ilość nie tylko typów i krajobrazów, lecz i kopij z tych rzeczy, które istnienie górala upiększają. Zapiski rysunkowe dawniejsze, dotyczące strojów ludowych, były raczej przeze mnie robione jako niezbędne części danego typu. W Szczawnicy dopiero zacząłem gromadzić niknące pozostałości etnograficzne dla nich samych. We wsi znalazłem przede wszystkim wielkie bogactwo w dziedzinie haftu. W willi „Szalay” miałem za sąsiada p. Jana Wiktora, utalentowanego młodego pisarza, który z pasją skupywał wszystko, co dotyczyło sztuki, czy przemysłu artystycznego górali. Cieszyliśmy się razem każdym nowym nabytkiem, a łzy ronili nad każdym zbitym obrazem. Z nadzwyczajną uprzejmością, bez cienia zazdrości, tej tak zwykłej wady zbieraczy, pozwalał mi p. Wiktor czerpać pełną garścią ze swoich skarbów, nie mając nic przeciwko prawdopodobnemu odbiciu ich kiedyś w druku. W uprzejmości tej dorównał Mu potem w Zakopanem dyrektor Muzeum Tatrzańskiego, p. Jul. Zborowski, który, zrozumiałwszy zamiary moje, stał mi się przyjacielem nadzwyczaj pomocnym w dalszym prowadzeniu rozpoczętej pracy. Tym to dwom ludziom w szczególności mam do zawdzięczenia, że teka moja grubiała szybko; Im to w tem miejscu składam zato moje najgorętsze i najserdeczniejsze podziękowanie.

Wdzięczny też jestem p. Weronice Czajowej, p. dyrektorowi Andrzejowi Garbińskiemu z Warszawy, p. profesorowi Kossowskiemu ze Lwowa i p. Zgutowi, kierownikowi szkoły w Szczawnicy, którzy bądź to odezwy moje pisane do górali, bądź też prace z dziedziny sztuki publicznie odczytać zechcieli. Wdzięczny jestem p. Szubertowej za cenne wskazówki i chętną pomoc w dostarczaniu materiału etnograficznego. Dziękuję Im zato serdecznie. I nie Im tylko, lecz także tym wszystkim, którzy mnie często odwiedzinami swymi zaszczycali, a zainteresowaniem się swoim dodawali mi bodźca w ciężkich chwilach, gdym się z chorobą borykał. Gości tych bywało u mnie wiele, że wymienię tu nazwisk nieco, jak p. profesor Abraham, p. red. Ambroziewiczowa z córką p. Pilatową, p. dr. Doliński z żoną, artystką-malarką, pp. Ireneuszostwo Grabkowscy z Wołynia, p. z Pawlikowskich Jarzymowska, p. senator Koskowski, p. dyr. Jan Łopaciński z lubelskiego, p. dyr. Zofja Pikulska z Warszawy, właściciel Szczawnicy p. Adam hr. Stadnicki, dyr. Muzeum im. Czapskich p. Wolański i in. w Zakopanem zaś miałem zaszczyt mieć u siebie dyrektora Muzeum etn. na Wawelu, p. Seweryna Udzielę, z którym łączyły mnie od lat paru listy, jakkolwiek nie znaliśmy się osobiście. Zaszedł On do mnie z profesorami uniwersytetów pp. Bystroniem i Chybińskim. Artyści jak p. Brzozowski, p. kustosz Homolacs z żoną, p. Kowal, p. Tymon Niesiołowski, p. St. Sobczak, pp. Stryjeńscy, p. Witkiewicz i p. August hr. Zamoyski. P. red. dr. Diehl, p. prof. Emil Godlewski i brat Jego p. Marjan dr. Godlewski, p. Władysław Orkan, p. inż. konserwator lubelski Siennicki, p. inż. Jerzy Warchałowski i inni.

Odwiedziny tych pięknych, zacnych, czy znakomitych ludzi były dla mnie uroczystymi świętami, ale świąt w roku niewiele; pozostają dni zwykłe, szare, jednostajne, słotne i dżdżyste, dni sezonu martwego. Wtedy to zjawiali się ci, którzy nie dla moich zbiorów mnie odwiedzali, lecz dla mnie samego, „bo się panu pewnie cnie”. Im to zawdzięczam, że siły moje wewnętrzne się nie skruszyły. Oni to umilali mi swoją obecnością długie wieczory

zimowe, dostarczając mi wiadomości dotyczących sztuki czy poezji ludowej i zawsze okazywali mi gotowość w oddawaniu przysług sąsiedzkich. Ich uprzejmość zawsze jednakowa stała się dla mnie błogosławioną, pozwalając mi bowiem zapominać o dwuletnim osamotnieniu. Dzięki temu miałem wrażenie, że jestem urodzonym Szczawniczanie, a nie leżącym się gościem. To też pamięć rodzin gazdowskich jak pp. Arendarczyków, Bieńków, Czajów, Madejów, Sojcaków Klimków, Korcipów Słowików, Burasiów Węglarzów, Gemzików Węglarzów, Doboszów Zachwiejów, Pyplów Zachwiejów i tych wszystkich, którzy z miłym uśmiechem mnie witali, gdy przechodziłem ulicą — pozostanie mi na zawsze miłą i drogą, gdy wspomnę o Szczawnicy. Gdy zaś myśl moja zawadzi o Zakopane, nasuwa mi się przed oczy rodzina zacnych pp. Janostwa Szostaków Gąsieniców, od których zawsze wiele serca doznawałem.



O Podhalanach nie umiem myśleć bez wzruszenia. Ci z nich, którzy talentem, wykształceniem i pracą zdobyli sobie rozgłos czy sławę, stali się jakby pomostem między sztuką pierwotną a uczoną. Chodzi im o to w pierwszym rzędzie, by sztuka z nich płynąca była nawskroś góralską, dlatego dzieła ich opierają się na podstawach dawnych; nie zatracają pierwiastka rodzimego, lecz go dalej uprawiają, pogłębiają. Życie prawdziwie ujęte, a przeplatane huraganową mocą wszechwładnego Przeznaczenia, w potężnych dziełach Władysława Orkana; baśń o Janosiku przypomniana i inscenizowana przez Andrzeja Galicę, czy bezpretensjonalni „Rycerze śpiący w Tatrach” Andrzeja Stopki, wreszcie godna naśladowania myśl stworzenia odrębnej sztuki góralskiej na scenę w utworach Gwiżdża — to literatura. W sztukach znów plastycznych u źródeł rodzimych czerpie Wojciech Brzega, rozwijając

wzory swoiste; Stanisław Sobczak tworzy dostojny typ Janosika; a uczeń zakopiańskiej szkoły Przemysłu drzewnego Jan Szostak zaczyna wskrzeszać bardzo udatnie taniec zbójnicki na obrazach malowanych na szkłe. Wszystko to jest dowodem, że artyści ci nie zapominają o swoim pochodzeniu, a przeciwnie w dziełach podkreślają to, że są góralami wywodzącymi się z tego mocnego chłopskiego, a dzięki swemu genjuszowi arystokratycznego pnia.

Chłop z nizin, zdobywszy świadectwo uczoności i czarny kabat, łącno o swem pochodzeniu zapomina, staje się „panem”, a dzieło jego staje się wszechpolskiem, nie posiadającym barwy miejscowej. Góralowi nie przeszkadzają modne briczesy w kratkę i pończochy; gdy zapomnisz o jego urodzeniu, on ci je przypomni bez rumieńca, a z dumą, bo stanowisko swoje uważa jako zaszczytną odznakę pochodzenia, którego broni pięknym czynem i słowem.

Za to Góralom cześć!

## PIERWSZA I OSTATNIA MOJA WYCIECZKA

... — Przewodnika nam nie trzeba, sam was poprowadzę; znam drogę na Szmeks doskonale, ozwał się Kazio.

— Brawo! Krzyknęliśmy zgodnym chórem.

— Weźmiemy sobie tylko dwóch chłopców, którzy poniosą za nami rzeczy i pożywienie. Jutro o 8-ej rano wychodzimy z Zakopanego.

Było nas więc sześciu: Kazimierz Przerwa Tetmajer, artysta-malarz Zygmunt Badowski, młodziutki Stanisław S. i piszący te słowa; jednym z tragarzy był 18 letni Wojtuś Gąsienica Krzeptowski, nazwiska drugiego chłopca nie pamiętam. Puściliśmy się w trzechdniową podróż. Uczucie swobody, wrażenia jakie podczas tej wycieczki odnosiłem, nie dadzą się z niczem porównać. Morze, czy to będzie spokojny nasz Bałtyk, czy straszny a przecudny Ocean Atlantycki, czy pawimi okami migocący Adriatyk; Puszcza Białowieska dziewicza i dzika, czy krajobraz naddnieprzański — nic to wszystko wobec gór. Mógłbym tu jedynie porównać drogę powrotną z Jałty do Odessy, jaką odbyłem w r. 1910. Nie tę do Jałty broń Boże! podczas której o mało ducha nie oddałem rozhukanemu morzu. Brrr! niedobrze mi się robi na samo wspomnienie. Podróż jakkolwiek równająca się pod względem wrażeń wzrokowych, to jednak nie dająca tego samopoczucia siły, jakie się ma przy pokonywaniu przeszkód górskich. Co innego, kiedy narażeni jesteśmy na ciągle niebezpieczeństwa, a co innego, gdy siedzimy w wygodnym powozie zaprzężonym w wyborną trójkę koni i jedziemy po szosie jak stół równej, po tej, po której sami carowie najmiłościwiej udawać się do Liwadi raczyli. Tu czuje się swoje niedołężne filisterstwo, tam wydajemy się sobie bohaterami, zmagającymi się z dziką, nieznaną naturą.

Wrażeń z wycieczki na Szmeks nie spisywałem słowami, a tylko malarskimi hieroglifami. To mnie uderzył jakiś profil

o wyrazie diabła na turni; to znów bawiła me oko rozbłękitniona i opalami mieniąca się nieskończona dal węgierska; to znów ogromne ciemne jezioro z odbijającym się pomarańczowym od zachodzącego słońca wierchem góry i wirsyckiem jedli... Rozkosz niewysłowioną sprawiało mi pędzenie na złamanie karku po głazach ruchomych jak klawisze; grozę znów wywoływało czepianie się mchów pazurami, kiedy dostawałem zawrotu głowy nad niezgłębioną przepaścią. Gdzieś tam nocleg w hałaśliwym zajeździe, gdzie inne już towarzystwo wesoło sobie hasało. Wyszliśmy na balkon zmęczeni, biadając, że się to nigdy chyba nie skończy. Ponura cisza dokoła, noc bezgwiezdna, granatowa, góry jakby w czarny aksamit spowite. Badowski głosem ponurym zauważył, że widzi spuszczone się koboldy po upłazach... Za karę, że w polskich Tatrach śmiał widzieć niemieckie koboldy, mianowaliśmy go od tej pory Koboldem.

Nałykawszy się strachu i wrażeń, napatrzywszy się na cudne widoki, trzeciego dnia szliśmy zpowrotem. Wyszliśmy o godz. 6 rano. „Znów to samo drapanie się pod górę, diabli wiedzą poci?!” poci, żeby przez 5 minut rozaniać się nad jakąś tam skałą”... biadał Staś S. I znów spuszczenie się ze szczytów, ponoć jeszcze więcej męczące... aż około godz. 3 po południu znaleźliśmy się w kotlinie zamkniętej ze wszystkich stron. Przewodnik nasz rzekł, że wie tu o jakiejś krótszej ścieżce do Polskiego Grzebienia. Zaproponował nam, byśmy sobie odpoczęli, on zaś pójdzie ścieżkę tę wyszukać. Z propozycji tej skorzystali skwapliwie Staś i tragarze, my zaś we trzech poszliśmy na zwiady. Nagle stanąłem przed śmieszną skałą, przypominającą kształtem olbrzymią głowę starej baby w czepcu.

— Zostaję tutaj, rzekłem, narysuję tę babę.

Nie protestując, poszli dalej. Za jakieś 20 minut babcia-olbrzym spoczęła w moim szkicowniku. Po skończonej robocie, począłem się ciekawie rozglądać. Skała pochylona była nad małą sadzawką pełną cudnej szafirowej wody. To też na brzegu jej ciągle dreptały dwie pliszki, śmiesznie podrzucając kuperkami. Kiedy zaniepokojone moją obecnością odleciały, owiała mnie absolutna cisza, żadnym najmniejszym choćby odgłosem nie przerywana. Zrobiło mi się jakoś ckliwo. Spojrzałem w górę, i na ciemnym szafirze nieba ujrzałem pierwszy raz w życiu białe, mętne gwiazdy... orzeł zatoczył nademną małe koło i uleciał wdał. I znów sa-

motność i cisza, cisza aż nieznosna. Zwinąłem się w kłębek, bo mi się zdawało, że za wiele miejsca w tem obcym dla siebie ustroniu zajmuję. Samotność moją na chwilę ożywił świstak, który stanął słupka i wprost na mnie patrzył; gdy się jednak jego piękniejsza połowa ukazała, świsał przeraźliwie zazdrośnie, dając znać, by się ukryła. Znów chwila dokuczliwej ciszy. Spojrzałem na szczyt góry i ujrzałem cudne zjawisko: stado kozic stało za samcem jakby wrosłym w cypel. Pragnąłem jak najdłużej obraz ten przed oczyma zatrzymać; kozice jednak czemś spłoszone, śmignęły jak strzały. Zjawisko było tem piękne, że błyskawicy podobne: pełne ruchu, a jednak nieme, gdyż w sporą chwilę dopiero, kiedym już kozic nie widział, usłyszałem przeciągły szum, potem jakby pereł po podłodze rozsucie: to spadał gruz usuwający się z pod ich nóg. I był to już ostatni ruch widomy, ostatnie zjawisko wśród tej dzikiej i martwej przyrody tak cichej, że słyszałem wyraźnie przyspieszone tętno własnego serca. Chciałem wstać, lecz bałem się spłoszyć ducha, co, jak mi się zdawało, tuż za mną stał. Cisza ta mnie wprost przygniatała. Miałem wrażenie, że mnie intruza śledzą tu nieprzeliczone spojrzenia ze wszystkich szczelin ciekawie wyzierające; spojrzałem w niebo... tam znów te blade, wymokłe ślepie gwiazd na mnie patrzyły. Lęk mnie jakiś dziecięcy ogarnął, więc krzyknąłem na moich towarzyszków: hop, hop! Dreszcz przeszył całe moje ciało, bo zdawało mi się świętokradztwem naruszenie tego świątynnego spokoju. Towarzysze odpowiedzieli mi prawie natychmiast, jakoś bardzo blisko. Odetchnąłem. Wpatrzony w stronę skąd mnie głos doleciał, spodziewałem się ich ujrzeć lada chwila... Oczekiwanie jednak zdało mi się jakoś zbyt długie, huknąłem więc jeszcze raz i znów mi odpowiadano w tem samym miejscu i z tą samą siłą. Djabli cię nadali... echo, szepnąłem, a dla nabrania odwagi roześmiałem się na całe gardło. Echo odpowiedziało mi kaskadą śmiechu powtarzającą się niezliczoną ilość razy. Wreszcie po długim, wieki trwającym oczekiwaniu, usłyszałem głos nikły. To już oni mnie na pewno nawoływali. Zacząłem śpiewać i wyc z radości, nie zważając, że śpiewało i wyło wszystko naokoło mnie, że się rozwarła paszcza tajemniczej ciszy i że piekielną wrzawą nappełniła się pustka... Ujrzałem wreszcie dwa czarne punkty: dwóch moich zbawców. Puściłem się ku nim co pary miałem w płucach. Złączywszy się z nimi, kiedym ochłonął z wrażenia, opowiedziałem im, com przez tę chwilę przechodził.



— Nie dziwię się wcale, rzekł do mnie Tetmajer. Znałem dwóch strzelców, którzy zawsze razem na polowanie chodzili. Przyszło im kiedyś do głowy, im, dobrze znającym prawa tej potężnej natury, by się założyć, który z nich dłużej w samotności wytrzyma. Rozeszli się na trzy dni, a wrócili obaj... tego samego dnia wieczorem. Góry strachem przejmują każdego, gdy się sam w nieznanym sobie miejscu znajdzie. Tak mówił do mnie Kazio Tetmajer, ten doskonały znawca tajemnic tatrzańskich. Czy mówił to przez wrodzoną dobroć serca, zbaczając trochę od prawdy, czy istotnie tak było — nie wiem, ale tylko dzięki tej jego przypowieści, spowiadałam się w tym miejscu tak szczerze z moich wrażeń.

Doszliśmy wkrótce do pozostałych towarzyszków.

— Co pan robił? pytam Stasia S.

— Spałem, odpowiedział, ziewając jak hipopotam.

— Takiemu to dobrze, mruknąłem.

— A wy chłopcy, coście robili? rzuciłem znów w stronę góralików.

— Napiliśmy się, pojedli, a teraz gwarzimy sobie.

— Tym jeszcze lepiej!

W chwilę potem ruszyliśmy w dalszą drogę. Nad wieczorem weszliśmy w olbrzymi las, ciągnący się bez końca. Nagle zatrzymał nas Tetmajer nad wartko płynącym strumieniem. Żaden z nas, zaczawszy od mistrza-przewodnika a skończywszy na tragarzach, nie mógł sobie przypomnieć, w którą stronę potok płynął, gdyśmy szli w tamtą stronę. Według tego jedynie moglibyśmy się kierować — tak, ani rusz. Zmirkneno się już dobrze, nad olbrzymiemi jedłami wietek ślicznie świecił, a my jak zbłąkane stado zaczęliśmy iść przed siebie, nie wiedząc jak długo wypadnie nam błdzić.

Noc szybko zapadła widna, ale tam jedynie w górze, nad koronami drzew, tu zaś, gdzieśmy się znajdowali, było tak ciemno, że choć oko wykol, za rozkazem więc przodownika poprzymocowaliśmy sobie na plecach wszystkie posiadane chustki i szliśmy gęsiego, podawszy sobie końce ciupag. Trwało to tak długo, że któryś z nas rzekł nieśmiało: Możeby tu zanocować... Przystanęliśmy na chwilę, aby się naradzić, lecz nas wnet taki ziąb owiał, że postanowiliśmy iść dalej. Nagle krzyknąłem:

— Słyszycie?! Jakiś wodospad na prawo!

— Tak, odrzekł Tetmajer, ale niema żadnych pewności, że to istotnie na prawo od nas, może to być echo jakiegoś wodo-

spadu znajdującego się zupełnie w innej stronie. Byliśmy bezradni, wreszcie odważyłem się rzucić:

— Jednak spróbujmy iść w tę stronę.

— Idźmy! poparli mnie wszyscy. Dzięki tej decyzji powziętej jedynie z przecucia, dotarliśmy do szerokiego gościńca, odcinającego się jasną bielą od czarnego lasu. Odetchnęliśmy z ulgą i pomimo szalonego zmęczenia i głodu szorowaliśmy o ile nam tylko siły pozwoliły. Kazio zawyrokował, że jesteśmy na dobrej drodze. Las się wkrótce uciał i ujrzeliśmy śliczną polanę, nad którą mgły lekko się kołysały.

— Hura! Krzyknęliśmy, szalas!!

— Psia Trawka, dorzucił nasz przewodnik.

Rzuciliśmy się jak opętani ku kopkom siana, koziołki na nich magając i rycząc z radości. Roznieśliśmy kopki w jednej chwili, pakując je do szalasu.

Należało teraz pokrzepić nadwątłone siły.

— Która godzina? — Dziesiąta. — Od szóstej rano — to nie byle co!.. Wojtuś dawaj torbę! Co tam masz? takie pytania-rozkazy krzyżowały się bezładnie. Po dokładnem zbadaniu zawartości torby, okazało się, że mamy: z pół łokcia kielbasy, torbę cukru, 4 cytryny i trochę herbaty, a chleba... piętękę. Djabło mało na nas sześciu. Ale co było robić? Chłopcy pognali po wodę do strumienia, a w chwilę potem mignął wesół płomień watry, rozgrzaliśmy się herbatą z cytryną, zakąsiliśmy tarciczką chleba z kielbasą, i w jak najlepszych humorach zaszyli w sianie.

Nazajutrz rano o godzinie ósmej stanęliśmy w Zakopanem. Hej, hej! Było to dawno...



## SZCZAWNICA

CHARAKTERYSTYKA SZCZAWNICKICH GÓRALI. ZAMIERZENIA MOJE  
I PRZEDSTAWIENIE ICH MINISTERSTWU SZTUKI I KULTURY. UWAGI

Po latach 27 miałem znów ujrzeć Zakopane, niestety! w okolicznościach mniej pociągających: lekarze polecieli mi udać się do stolicy podhalańskiej dla poratowania zdrowia. W Krakowie jednak powagi „doktorów od lekarstwa” kazały mi ratować się raczej w Szczawnicy, skoro warunki wojenne nie pozwoliły na wyjazd do Szwajcarii, uznając Zakopane za zbyt ostre. Byłem z tej zamiany mocno niezadowolony i byłbym się niezawodnie zbuntował, gdyby nie towarzystwo rodziny. Samo brzmienie nazwy Szczawnicy było mi niemiłe, Zakopane zaś nęciło mnie jak każda miejscowość piękna, którą już kiedyś miałem sposobność poznać.

Wskutek doskonałych wskazówek urzędników kolejowych błędziśmy po Sącach i Rabkach, zanim wskazano nam właściwą drogę: Nowy Targ. Dzięki temu podróż ta trwała... trzy dni.

Koniec lipca 1919 r. był dżdżysty i słotny. Pienin nie można było rozpoznać z poza gęstych i ciężkich płacht niezdolnej mgły. Leżakowanie było niewskazane wskutek zbyt wilgoci, ze znajomych nikogo—jednym słowem, rozpacz. Aż któregoś tam sierpnia, ogromne barwne ogłoszenia oznajmiły nam, że dnia tego a tego ma się odbyć wielka zabawa w parku miejscowym. Przeszedłem mimo ze złością i lekceważeniem podnosząc ramiona, boć wiedziałem, że kiedy się w Warszawie zapowiada balet w Łazienkach pod gołym niebem, to się zawsze coś w upustach niebieskich psuje. Ze stolicy szedł zawsze zwyczaj ten na cały kraj, zdziwiłem się więc niepomiernie, kiedy nas szczawniczanka usługująca w jadłodajni zapewniła, że u nich jest wprost przeciwnie. Istotnie dwa dni przed zabawą deszcz lać przestał. Z przybudówki domu „pod Kraszewskim” przypatrywałem się jakby ruchomym drzeworytom

japońskim, w których motywem były zamiast góry Fudzi — Trzy Korony. Na zabawę poszliśmy rzecz prosta. Wszakże to była najlepsza sposobność poznania stroju ludowego. Usadowiwszy się w bliskości orkiestry wojskowej, przypatrywałem się góralom przy-słuchującym się muzyce. Nagle ujrzałem pyszny typ leciwego gazdy. Wyjąłem szkicownik i zacząłem go rysować. Spostrzegłszy to uśmiechnął się, a korzystając z chwili, gdy nad rysunkiem głowę pochylił, schował się za drzewo. Zabawa ta w chowanego powtórzyła się parę razy. Kiedy szkic był skończony, skinąłem mu głową na znak podziękowania, a gdy zbliżył się, wstałem, podając mu zeszyt. Kiedy popatrzał, rysy mu się ściągnęły w złości, poślinił wielki palec i zrobił ruch jakby chciał rysunek zamazać. Zdrętwiałem; ale nim zdążyłem podejść, by szkicownik z rąk jego wyrwać, oddał kartkę i syknawszy: Nic niepodobny! — potargał ją na drobne kawałki. Będąc wtedy pozbawionym głosu, szepnąłem tylko: Bardzoście grzeczni... Wyręczyła mnie natomiast moja galerja złożona z żołnierzy, górali i żydów. Połyszałem za sobą sypiące się jak grad wyzwiska, skierowane w stronę gazdy: „A to cham!.. Smaruj chłopu miodem...; pan znasz swoje fizjonomje, właśnie że bardzo podobne i t. p.

Po tem niebywałem grubiaństwem, jakie mnie pierwszy raz w życiu spotkało, mignęła mi myśl, czy nie należałoby się przetrząsnąć do zgromadzenia rzeźników, czy interesu korzennego. Od zupełnego zwątpienia w swoje zdolności uchroniło mnie jedynie stanowisko pocziwej galerji. Jej to zawdzięczam, że się zaraz otrząsnął z ponurych myśli, a idąc za radą O. S. Mardena, autora książki p. t. *Sita ducha*, który każe nieprzyjemne myśli odsuwać a zastępować je miłemi — począłem rozmyślać, jak wspaniale zacny Lublin uczci zbliżające się trzydziestolecie mojej pracy malarskiej... Teraz dopiero po latach kilku widzę, że ś. p. Halicki, ongiś dyrektor teatru lubelskiego, miał świętą rację, nazywając mnie „niepoprawnym idealistą”, kiedy go chciałem na uczciwszy repertuar naprowadzić. Tak jak zostałem przez owego gazdę ukarany za uczucia, jakie żywiłem zawsze dla Podhalan, tak i w Lublinie, w którym dwadzieścia przeszło lat pracowałem, jak mi się zdawało, z pożytkiem dla ogółu, zostałem „uczczony” przez głównego przedstawiciela pewnej głównej instytucji... eksmisją i wyrzuceniem mego dorobku artystycznego na strych z pracowni, do której dobrano się zapomocą wytrycha. Nastąpiło potem wyrzucenie rzeczy na podwórze, zupełnie zresztą prawne, bo na mocy wyroku

sądowego. Pamiętano o mnie dobrze w Lublinie, bo zaledwie noga moja postąpiła na progu nowego mieszkania, zjawił się wnet urzędnik z mieszkaniowej inkwizycji, by mi doręczyć kwit rekwizycji..

Chcąc być sprawiedliwym względem górali, zaznaczyć tu muszę, że wyżej opisana historia była jedyną nieprzyjemnością, jaka mnie w Szczawnicy ze strony górali spotkała. Przeciwnie zaś moi dółscy „najserdeczniejsi” okazali mi przez trzechlecie mojej kuracji w górach, całą swoją dulszczyznę. Przewracam więc tę kartę co prędzej, by wrócić pamięcią do życzliwych mi ludzi.



Czem jest Szczawnica jako uzdrowisko, nie zdają sobie sprawy dostatecznie ani lekarze ani polskie społeczeństwo. Wiedzą o tem natomiast żydzi, którzy urocą tę miejscowość zajęli ze szkodą pod każdym względem dla nas. Wódką i kredytem zdobyli serca górali, a potem łatwo im już było zagarnąć ich chaty i grunty. Lud podhalański niesłychanie zdolny i inteligentny, pokusom oprzeć się nie mógł, to też jest cały szereg domów żydowskich, które niegdyś były zamożnych gazdów własnością. Górale mieli w zjeżdżających się gościach klientów, przyjaciół wśród nich nie mieli. Letnik potrzebuje górala tak, jak człowiek głodny kelnera w restauracji: po spożyciu posiłku gość obtarłszy usta i rzuciwszy należność wychodzi, nie spojrzawszy na służącego. Tak i tu: wybieczka się kończy — każdy idzie do domu. Najważniejszą rolę w stosunku między gościem a góralem gra dobry humor przewodnika, lub dobre chody konia z jednej strony, z drugiej zaś hojność w zapłacie — dusze tych ludzi pozostają dla siebie wzajem obcemi. W tem to widzę główny powód tak częstych narzekań ze strony kuracjuszków, a nawet stałych mieszkańców Szczawnicy na zdrzierstwo górali i na ich lenistwo. Ja zaś sądzę, że te wady są tylko niezbitym dowodem ich rasowej łączności z Lachami, od czego się przecież do niedawna jeszcze odrzekali... Wymaga się od górali, którzy byli odcięci od reszty świata swemi górami i lasami, których cywilizuje pseudo-kultura wielkomiejska od pół wieku dopiero, aby wyrównali we wszystkim prawdziwym siewcom teje. Wszakże jeżeli chodzi o poważniejszy siew, to przez dwa

lata pobytu mego w Szczawnicy, odbył się jeden odczyt Jana Parandowskiego „O bolszewizmie w Rosji”, poranek z przemówieniami, kiedy chodziło o werbowanie ochotnika (co się zresztą zupełnie nie udało); wreszcie kilka odczytów piszącego te słowa, na temat miejscowej sztuki ludowej i sposobach rozwinięcia jej. Ludności tubylczej bywało mało na tych odczytach, natomiast teatry, koncerty i popisy taneczne odbywające się częściej, cieszyły się wielkiem jej poparciem.

Cały pobyt między Podhałanami pozostawił ślad niezatarty w mej pamięci. Dzięki ich dobroci i usłudze zawsze mi okazywanej, pracować mogłem tak jak nigdzie przedtem. Rad jestem, że ataki publiczności celowane ku dorożkarzom, mogę odeprzeć zdarzeniem następującem: Odbierałem raz z poczty jakiś pakunek, wziąłem więc furkę. Chłopca-woźnicę znałem jedynie z widzenia. W drodze zamieniłem z nim parę zdań. Przy wysiadaniu, kiedym mu się chciał uścić z należności papierkiem przewyższającym takse, nie wyciągnął wcale ręki, tylko podnosząc wysoko ramiona rzekł:

— Ja ta od pana pieniędzy nie wezmę!..

W pierwszej chwili sądziłem, że uważa wynagrodzenie za zbyt małe, więc pytam:

— Czemużto?

— Nie chcę, nie wezmę.

— No dobrze, ale dlaczego, powiedz?

— Bo pan o mojej mamie pisał do Warszawy...

Nie zrozumiałem w pierwszej chwili, dopiero sięgnawszy pamięcią nieco wstecz, zawołałem:

— A! To ty pewnie się Słowik piszesz?!

— Hej.

Byłem wprost rozczulony i zacząłem mu parsadować, że zrobił jak każdy innyby w tym wypadku postąpił (chodziło mianowicie o uświadomienie jego matki w sprawie odbioru żywności amerykańskiej), kosztów jednak żadnych przy tem nie poniosłem, on zaś koniem swoim zarabia na życie, nie powinien więc odmawiać przyjęcia należnej mu zapłaty. To powiedziawszy, położyłem pieniądź na koźle i szybko się oddaliłem.

Uprzejmość górali odczuwałem na każdym kroku, czy to kiedym przechodził przez wieś, czy też kiedym siedział z musu w domu, a oni mnie odwiedzali. Wytworzył się między nami stosunek najmiłszy, dzięki temu może, że nie było między nami tego najnikczemniejszego pośrednika: pieniądza.

Drugą wadą ich rzekomą, to lenistwo. I tu biorę ich w obronę. Inteligenci zamieszkali w Szczawnicy składają się z mieszczuchów przywykłych do zupełnie innego trybu życia: życie ich pełza ujęte w karby pedanterji biurowej. Góral tego nie zna. Dla juhasa, czującego zresztą wagę odpowiedzialności swojej za całość kierdelu, zegarem jest słońce, a w dzień pochmurny... żołądek; wrażenia jego nie są cuchnąco-kawiarniane, odbiera je od dzikiej a cudnej przyrody. Przenieśmyż teraz tego mieszkańca wierchów pędzącego naprawdę życie orle, w doliny, i zaprzęgnijmy go do rycia ziemi w ogródku. Cóż dziwnego, że przywykłemu do zapuszczania wzroku wdał, będzie tu ciasno i nudno, i że wreszcie będzie leniuchował. Niewiele dba wtedy o opinię szanownej miejskiej publiczności, która przechadzając się „pracowicie” po parku, albo oddając się wysoce filantropijnym sesjom, czy zbieraniu fantów na festyn, nie ma słów oburzenia dla tego „próżniaczego ludu”. Trzeba jednak widzieć górala przy pracy, którą ukochał — wtedy to robota pali mu się w rękę. Nie jest więc leniwy, jest raczej mało obowiązkowy, czyli posiada wadę znów ogólnolacką.

Cały artyzm górala wykwił na wolności, a objawia się w tej przepięknej piosence, w którą ujął swoje życie:

Górol já se górol  
z pod wisokich Tater;  
wykąpał mnie discyk  
wykołysał wiater.

Zdolnościami górala szczawnickiego nikt się nie zajmował ani dawniej, ani obecnie. Pół wieku temu jednak dzięki warunkom, w jakich się wychowywał, znajdował ujście w sztuce dla wszystkich swoich uczuć i wzruszeń. Czas wtedy niewiele znaczył, życie było tanie, dzięki też temu wyrastał jakby z pod ziemi legion dorosłych artystów wyrażających się w pieśni, sprzęcie, budownictwie, hafcie czy malowanym na szkle obrazie. Dziś gorączka zdobycia dudków w sposób jak najłatwiejszy, niezdrowa gorączka przeszczepiona z miast zrobiła z tego człowieka piękna i mądrości — przebiegłego geszefciarza. Artyści tu przyjeżdżają jedynie dla studjowania pięknej natury. Nałogowi temu i ja początkowo uległem i zacząłem malować typy i niebo. Z krajobrazu w ścisłym tego słowa znaczeniu korzystać nie mogłem, gdyż chodzenie było mi przez lekarzy surowo wzbronione. Wkrótce jednak zwróciłem

bacniejszą uwagę na hafty na ubiorach. Zdawało mi się, że odwracam karty pergaminowe starego kancjonalu, a na każdej z nich widzę inne miniatury malowidło. Odkryłem świat nowy dla siebie, przedtem nieznany, to też podzieliłem się wrażeniami memi z p. p. ministrem dr. Chodźką i generalnym konserwatorem, inż. Wisniewskim, prosząc ich jednocześnie, aby zechcieli poprzeć moje zamierzenia w Ministerstwie Sztuki i Kultury, do którego zwróciłem się z memoriałem. Przytaczam go poniżej w dosłownem brzmieniu:

Będąc zaledwie trzeci miesiąc w Szczawnicy, dokąd przyjechałem dla poratowania zdrowia, miałem sposobność przekonać się, jak zmysł artystyczny ludu tutejszego jest wysoko rozwinięty. Uderzyły mnie przedewszystkiem wyszycia ozdobne na strojach mężczyzn. Dziewczęta choć bardzo zręcznie haftują, to jednak wyszycia ich na gorsetach nie mają tego charakteru miejscowego, dawnego. Nie wymyślały one tych ozdób, a tylko naśladowują kwiaty, podług natury. Zato każda guńia, każda kamizelka i portki mają, jeżeli nie inne zupełnie „cyfrowanie”, to najrozmaitsze odmiany jednego i tego samego wzoru. Co najważniejsza, że majstrami w wyszywaniu ubrań i serdaków są sami górale, a nie tak, jak się to działo np. w kieleckiem i in. ziemiach Królestwa, gdzie noszono białe sukmany, które wykonywali żydzi.

Kiedy zacząłem się zgłębiać w tajniki sztuki tutejszej, odkryłem kilka obrazów na szkłe malowanych. Obrazy te przynoszono z Węgier, i były swego czasu chętnie przez górali nabywane. Znalazł się jednak ksiądz-obrazoburca (o czem się dowiedziałem od pewnego sędziego gazdy), który zobaczywszy u tegoż obraz na szkłe przedstawiający Adama i Ewę w Raju, kazał go spalić jako nieprzyzwolity. Ten to ksiądz prawdopodobnie stał się przyczyną, że w chacie góralskiej zapanował wszechwładnie oleodruk niemieckiego wyrobu. Obrazy te czasem są oprawione w bardzo piękne ramy miejscowego wyrobu, a dają się z lat sześćdziesiątych zeszłego stulecia<sup>\*)</sup>. Ramy te najczęściej malowane mają nieraz wzór bardzo misterny ułożony z maleńkich skrawków prasowanej słomy. Robi to wrazenie pysznej inkrustacji. Dalej z drzewnych wyrobów godne uwagi są skrzynie malowane, oraz wysokie laski smrekowe, w których korze są wycinane pięknie geometryczne wzory. Mam już w tece spory zbiór rysunków z wymienionych przedmiotów, ale uważam, że to za mało.

Koniecznem, zdaniem mojem, jest założenie muzeum i szkoły. W pierwszym zgronomadzone materiały dałyby tubylcom i przyjezdnym obraz bogactwa artystycznego miejscowego, z którego górale

<sup>\*)</sup> Właściwie wtedy zaczęły już zanikać (dopisek późniejszy).